

# PUSTA SKRYTKA

KAZIMIERZ KOZŃIEWSKI

**P**OZYTYWNE, ba, nawet entuzjastyczne przyjęcie najnowszej powieści Tadeusza Siejaka „Próba” zarówno przez czytelników jak przez recenzentów oraz niektórych krytyków z Henrykiem Berzą na czele (właśnie w „Polityce”), budzi moje zdumienie.

Siejak z całą pewnością jest pisarzem utalentowanym, który jednak marnuje swój talent w sposób nazbyt jaskrawy, krančowo ulegając literackiej nowo-modzie. W rezultacie otrzymaliśmy książkę niedobłą, którą tym ostrzej należy ocenić, im sprawniej jest napisana. Choć nawet i warsztatowa sprawność chwilami budzi protesty, gdy staje się jałowym popisem wirtuozerii stylowej i stylistycznej, gubiąc sens narracji powieściowej.

Trzy zasadnicze pretensje do tej, niewątpliwie ciekawie zamierzonej powieści — wymagają jasnego sprecyzowania. Pretensja o język. Pretensja o zawartość intelektualną. Pretensja o dramaturgię stylistyczną — jeżeli tak można określić.

Język. Idzie o niezwykle nasiloną wulgarność.

Od wielu dziesięcioleci trwa w literaturze i polskiej, i światowej wal-

## 8 POLITYKA

NR 23 (1466)

8.VI.1985 R.

ka z akademizmem języka literackiego. Już nie tylko, że został równouprawniony z językiem literackim, ale po prostu go zwyciężył i wyparł z placu boju. Ambicją językową młodego pisarza polskiego — wspierana przy tym przez krytyków takich jak Henryk Berza na przykład — jest możliwie najcisłej, niemal magnetofonowe, przekazywanie w piśtarstwie języka najbardziej codziennego, a więc — w wypadku, niestety, polszczyzny — języka szalenie zubożonego, sprymitywowanego, wulgarnego. Ponieważ jednak literatura z natury swojej nie jest w stanie przekazać języka mówionego — i nigdy, jak długo będzie zapisem, w stanie nie będzie — więc pisarze chcący oddać możliwie najwierniej nasz język codzienny, potoczny, dokonywać muszą rozmaitych zabiegów stylizatorskich. Tak jak kiedyś literatura stylizowała język swój w kierunku pewnego nieprawdziwego piękna, tak teraz pisarze nasz język codzienny paskudzą jeszcze bardziej, fryzują go nie na piękność, ale na brzydotę.

Jan Parandowski napisał w swojej „Alchemii słowa”, że gdy się w piśtarstwie otworzy wszystkie drzwi i okna, czyniąc przeciąg, to do środka naleci ogromnie dużo również i smiecia. Przewyciężenie — totalne i zwycięskie — wszystkich stylistycznych, językowych ograniczeń i

manier miało tę absolutnie dobrą stronę, że oczyściło język literacki z ogromnego balastu patosu i pułkosiłwa, ale w rezultacie lekko-myślniej niefrasobliwości przyniosło niebezpieczeństwo zupełnego zniszczenia języka. Z wolności językowej, jak z każdej należy umieć mądrze korzystać.

Byli krytycy, którzy rozdarli szaty z oburzenia na Jerzego Andrzejewskiego, gdy ten w jednym akapicie „Miazgi!” pozwolił sobie na całkowitą wulgarność w domenie słownictwa erotycznego. Tyle że u Andrzejewskiego był to jeden akapit w dużej objętościowej powieści i to akapit, którego seksualny wulgaryzm był całkowicie uzasadniony wymogami dramaturgii powieściowej oraz elementarnej prawdy o intymnych reakcjach bohatera. Właśnie „Miazga”, jak zresztą wszystkie twory Andrzejewskiego, dowodzi, że pisarz zawsze potrafił mądrze wykorzystać tę wolność języka literackiego, jaka została nam współcześnie ofiarowana. Wielu recenzentów i krytyków w tym utwierdza Siejaka, że im więcej „kurw” będzie w jego tekście, tym większy będzie autentyzm tej prozy. A przecież Siejak nie opowiada nam o bycie nadwiślańskich knajpek i lumpenproletariusz, ale o bycie urzędników państwowych czy partyjnych wysokiego szczebla, a tam naprawdę był w użyciu inny język

czy żargon. Może też brzydki i zasmiecający, demoralizujący język, ale inny.

Błąd drugi. Oczywiście: można uznać powieść Siejaka, że to satyra, karykatura, ale mnie się to nie podoba. Bowiem wydaje mi się, że Tadeusz Siejak nie miał bynajmniej ochoty napisać powtórnego „Kariery Nikodema Dymy”, „Próba” — to na serio zmierza do niemal epickiego odtworzenia rzeczywistości politycznej oraz intelektualnej postawy rządzących w latach siedemdziesiątych prominentów.

Na obwołucie książki czytamy: „Próba jest próbą drastycznych demaskacji społeczno-politycznych rzeczywistości polskiej lat siedemdziesiątych”.

Otóż — nieprawda!

Zarzut ten zresztą odnosi się nie tylko do powieści Siejaka. Odnosi się do ogromnej większości utworów literackich, które próbują dać świadectwo prawdzie lat siedemdziesiątych. Siejak pokazuje nam świat urzędników państwowych — płytkich, beżmyślnych idiotów. Roman Ratajczak jest właśnie takim płytkim, beżmyślnym idiotą, pozbawiony — w relacji Siejaka — jakichkolwiek racji czy argumentów intelektualnych, myślący jedynie odruchami, jego horyzonty intelektualne są żadne, ambicje kariery urzędowej, urzędniczej ograniczają się tylko do uzyskania najelementarniejszych korzyści materialnych bądź formalnych, pozbawiony jest własnego zdania, powoduje się odruchami, emocjami, jest całkowitą lalką, zeterm, pajacem.

W Polsce w latach siedemdziesiątych było multum wojewodów. Setki wicewojewodów. Tysiące rozmaitych przewodniczących. Dziesiątki tysięcy dyrektorów. Wśród nich znajdowali się — wynika to z praw liczbowych — również i tacy, którzy byli po prostu i zwyczajnie głupi, a sprawowana przez nich władza była mechaniczną, choć ewanym wykonywaniem pewnych wyuczonych gestów. Romanowie Ratajczakowie

Czy tacy właśnie mają być bohaterami naszych demaskatorskich powieści? Literatura, która pragnie przekazywać jakiegoś sprawy zasadnicze, która pragnie demaskować bądź piętnować, nie może być demaskowaniem autentycznych idiotów, gdyż byłaby to literatura bardzo licha. Cóż z tego, że na dalszym planie tej powieści epizodycznie pojawia się jeden czy drugi towarzysz partyjny, który posiada jakieś racje, który prezentuje jakieś stanowisko intelektualne czy moralne, który odgrywa rolę jakby ideowej „przywoitki”, jeżeli główny bohater wielkiej powieści, zajmujący sobą jakieś 90 proc. tekstu nie prezentuje nam, czytelnikom, żadnych swoich racji ideowych, intelektualnych, rzeczowych, które przecież posiadał.

W tej i w innych „próbach” mamy obecnie do czynienia z bardzo radykalną manierą odintelektualizowania naszej literatury współczesnej. Ucieczką od jakichkolwiek argumentacji, jakichkolwiek racji intelektualnych, rzeczowych, ideowych bądź moralnych. Kienholz, ów znakomity interpretator rzeczywistości umysłowej naszej epoki, trafnie pokazał w inscenizacji zwanej „wernisazem”: manekiny ludzkich postaci, widzów i krytyków wystawy malarskiej, zamiast mózgow mają wmontowane taśmy magnetofonowe. Kienholzowi szło o władztwo frazesów nad śmietanką intelektualną uczęszczającą na wernisaże. W innej inscenizacji, znajdującej się w muzeum amsterdamskim Kienholz klienteli baru wmontował zamiast głów budziki. Wielki plastyk naszej epoki zaobserwował pewne schorzenie społeczne. Otóż rzeczą literatury jest właśnie walczyć z owym społecznym schorzeniem. Uczuciowe odruchy, gesty fizjologiczne zastępować motywacjami racjonalnymi i ideowymi, intelektualnymi bądź moralnymi. Ale racjami! Bohaterowie Siejaka te racje mieli! Doszło do tego, że właściwie jedyna dzisiaj literatura polska, w której bohaterowie posługują się dla motywacji

swoich czynów jakimiś racjami — w danym wypadku moralności religijnej — jest literatura tworzona przez pisarzy katolickich. No, przesadzam! Jest jeszcze paru pisarzy laickich, z Władysławem Terleckim na czele, którzy również wyposażają swych bohaterów w bardziej lub nawet zdecydowanie intelektualne uzasadnienia.

Gdyby nie było dwu pierwszych błędów tej „Próby” zarzut o jej nazbyt wielkie skomplikowanie narracyjne, a nawet i stylistyczne (prezencjonalność pomysłu z owym drugim ja pana wojewody owym „Spirytusem” czyli duszą próbującą oddziaływać na jej posiadacza nieco refleksyjnie...) nie mógłby być w ogóle formułowany. Ale gdy intelektualnie powieść jest zupełnie pusta, gdy jej język jest całkowicie zmanierowany w najgorszym do tego kierunku, mamy prawo upomnieć się i o te zupełnie zbędne utrudnienia narracyjne. Po co? Ze „Spirytusem” czy bez „Spirytusa” wojewoda Roman Ratajczak jest tak samo pustym, pozbawionym umiejętności myślenia, facetem. Jego „Spirytus” też jest taki sam.

Tadeusz Siejak umie pisać. Ulega jednak podszeptom złych proroków. Jeden prorok mu wytłumaczył, że nowoczesność pisarza polega jedynie na eksperymencie językowym, a eksperyment najłatwiejszy odcinający autora od języka literackiego — to język ulicznych. Drugi prorok mu wytłumaczył, że literatura polega na atakowaniu rzeczywistości w jej punktach najełbnych — podczas gdy literatura polega na atakowaniu rzeczywistości w punktach intelektualnie najsłabszych. Trzeci prorok mu wytłumaczył, że powieściopisarska relacja musi się odbywać meandrycznymi zakosami, zasłonami, retrospekcjami i zamuleniemi — zapominał mu tylko nadać giełdową tabelę cen i kosztów. Nie wolno za zbyt wysoka cenę sprzedawać pustych mudelek. Przecież i orzemyślenia wojewody Romana Ratajczaka to takie puste pudelko.